Nr. 2. Lwów dnia 10. Lutego 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr.
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr.—kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Plac Kapitulny Nr. 7.

ŚWIT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda, w Poznaniu księgarnia J. K. Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „*Świcie*“ wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych.

TRYUMF PROLETARYUSZÓW

przez

Adama Mickiewicza;

podał i wstępem objaśnił

Agaton Giller.

(Ciąg dalszy.)

II.

. . . .

Do tej pory Francya, pustoszona przez wojnę domową, nie mogła wziąć czynnego udziału w sprawie konfederacyi europejskiej. *) Konfederaci jednak nie przestawali żądać od niej pomocy. Twierdzili oni: że Francuzi winni byli swoje domowe sprawy zależnemi uczynić od wielkiej kwestyi europejskiej; nie mogą bowiem spodziewać się trwałego u siebie pokoju przed załatwieniem tej kwestyi. Ponieważ szło tu przedewszystkiem o zadanie ostatniego ciosu staremu porządkowi w Europie, więc potem dopiero można będzie radzić bezpiecznie nad konstytucyami narodowemi i sprawami miejscowemi.

I w rzeczy samej posuwając swoje armie ku Elbie i Tybrowi Francya mogłaby decydować o losach Europy. Przywódzcy atoli rzeczypospolitej, zmęczonej długą wojną wewnętrzną, słusznie przerażeni strasznemi scenami, których Niemcy i Francya były teatrem, zagrożeni nakoniec przez proletaryuszów, nie mieli w rzeczywistości tej sympatyi dla konfederatów, którą głośno objawiali. Odpowiadali więc, że nie mogą odważyć się na wmięszanie się do spraw wewnętrznych swych sąsiadów, dopóki nie zapewnią Francyi szczęścia i pokoju.

Proletaryusze zaś ośmieleni powodzeniem i sympatyą Europy prowadzili z republikanami wojnę z zaciętością. Posłali deputacyę do konfederatów z tem oświadczeniem: że zbliża się chwila tryumfu dla proletaryatu francuskiego, potrzeba tylko jednego wysilenia, żeby wywrócić stronnictwo wsteczne. Konfederaci, zamiast domagać się od tego stronnictwa pomocy, powinni wysłać część wojska ze swoich licznych armii dla przyspieszenia zwycięztwa stronnictwa ludowego we Francyi. Zapewniwszy tym sposobem jego wygranę, łatwo będzie potem skierować ku środkowi Europy wszystkie siły Francyi.

Tak więc Francya, która tyle razy stanowiła o losach obcych ludów, zdawała się być przygotowaną do przyjęcia dzisiaj ich najścia, które wypadki uczyniły możliwem.

Obie armie francuskie zajmowały ciągle te same stanowiska, nie ośmielając się uczynić decydującego kroku. Republikanie mieli 70.000 piechoty, 15.000 jazdy i potężną artyleryę. Była to siła więcej niż wystarczająca przeciw proletaryuszom, których artylerya była prawie żadna, a których jazda zaledwie wystarczała na obsługę forpocztów. Prawda, iż piechocie a raczej tłumom proletaryuszowskim, w liczbie 130 lub 140 tysięcy, nie brakło na męztwie ani na doświadczeniu wojskowem, ale były one pod złem dowództwem, bez dyscypliny a często i bez żywności. Jedno wysilenie armii republikańskiej mogło było zniszczyć ten tłum bezładny, albo go odeprzeć, oswobodzić Lyon i przywrócić z Szwajcaryą komunikacye tak potrzebne dla dostawy żywności. Nieszczęściem generałowie republikańscy, jak wszyscy umiarkowani, nie mieli dość energii, — objawiali przytem głęboki wstręt do środków gwałtownych i niszczących, chcieli uniknąć rozlewu krwi francuskiej i dlatego często parlamentowali z nieprzyjacielem. Spodziewali się, być może, tymczasem przekupić kilku przywódzców proletaryatu i podsycić ich nienawiść. Przeciągali więc sprawę w tej jeszcze nadziei, że brak żywności przyczyni się do zdemoralizowania i rozstrojenia obozu nieprzyjacielskiego tak licho zorganizowanego.

Rzeczywiście, nienawiść wzajemna pomiędzy proletaryuszami długo tłumiona przez niebezpieczeństwo, w jakiem zostawali, wybuchła znowu w tym czasie. Żołnierze nieregestrowi, krnąbrni i nieposłuszni grupowali się według barw więcej lub mniej jaskrawych swoich opinii. Te grupy uformowały dwie frakcye gwałtowne i nieprzyjazne sobie. Stronnictwo najliczniejsze i najsil-

*) W nieznanym ustępie prawdopobnie była mowa o skonfederowaniu się żywiołów ludowych w Europie przeciw monarchicznemu porządkowi rzeczy. (Przyp. red.)

NA OKAZ.

niejsze było to zawsze owo stare stronnictwo radykalne, reprezentowane przez przywódzców, którzy pierwsi podnieśli sztandar proletaryzmu, i przez większość robotników i chłopów, silnych a doświadczonych we wszystkich wojnach za niepodległość. Sekciarze tego stronnictwa wzięli sobie za cel równość majątkową, to jest *lex agraria*. Był to jedyny dogmat ich społecznego *credo*. Nie okazywali się oni przeciwnymi innym reformom radykalnym, ale uparcie utrzymywali, iż należało zacząć od wprowadzenia w życie agraryjnego prawa, unikając wszelkich rozpraw, któreby przeszkadzały jego wykonaniu. Gdy równość majątkowa raz będzie wprowadzona, mówili, można będzie potem znieść prawo spadkowe i wprowadzić inne ulepszenia społeczne, któreby postęp uczynił potrzebnemi. Lud, który walczył przez tyle lat, powinien być nareszcie zadowolniony jakimś istotnym nabytkiem, choćby tylko dlatego, ażeby go natchnąć ufnością do tych ulepszeń, o których tyle się mówiło, a których nigdy nie spróbowano urzeczywistnić. Zacznijmy tedy od wprowadzenia w życie jedynej reformy, na którą wszyscy się zgadzamy, co nam nie przeszkodzi potem rozłączyć się przy innych szczegółowych kwestyach. Dano temu stronnictwu nazwę realistów, z powodu nienawiści ich do teoryj oderwanych. Zaczęto ich jednak oskarżać o arystokratyczne dążenia, dla dumy z jaką darli się do dowództwa i do kierownictwa nad rozprawami.

Ale opinia uczyniła już nadto znaczny postęp, ażeby zadowolnić się mogła cząstkowemi i powolnemi reformami, przeprowadzanemi według planu realistów. Wszystko co było energiczniejszego i szlachetniejszego uformowało mniejszość silną odwagą a nadewszystko logiką. Zapytywano realistów jakiem prawem pozwalali sobie kłaść tamę rozprawom i gwałcić tym sposobem swobodę myśli i rozumowania? Przypominano sobie, że dawni monarchiści i tegocześni republikanie paryscy objawiali również pogardę dla oderwanych teoryj i też same stawiali przeszkody czasu i potrzeby zachowania legalności. Czyż to proletaryatowi wypada naśladować taktykę stronnictwa wstecznego? Przed rozpoczęciem reformy społecznej czyż nie jest potrzebnem, czyż nie jest główną rzeczą nakreślenie planu i rozebrania wszystkich jego szczegółów? Wiele razy już próbowano przeprowadzić owe powolne bękarcie reformy, ale nigdy się one nie udały. Ażeby zbudować gmach społeczny, potrzeba jasno wyrazić ideę wieku, potrzeba zformułować wyznanie społeczne.

Według tych ogólnych zarysów zaproponowano wiele ulepszeń natychmiastowych i koniecznych. Chciano zacząć od zniesienia nazwy proletaryuszów. To miano lepsze zapewne od tytułu obywatela, nie odpowiadało już potrzebie czasu, nie wyrażało żadnej myśli postępowej i miało w sobie coś rzymskiego, pedanckiego, a przytem nie było dobrze rozumianem za granicą. Długo rozprawiano więc nad nazwiskiem, przez które chciano dawne miano zastąpić i postanowiono nie brać żadnego. Patryoci mieli się zwać po prostu **ludźmi**, mianem ogólnem, a ci, którzyby go nie chcieli przyjąć, mieli być słusznie ścigani, jako nieprzyjaciele ludzkości.

Proletaryusze nosili jeszcze do owego czasu imiona rodzinne. Ten barbarzyński zwyczaj pochodził z czasów feudalnych, kiedy wyrażał posiadanie ziemi. Było więc rzeczą naglącą zmienić go, aby ułatwić tym sposobem zniesienie dziedziczności. Imiona otrzymane na chrzcie stały się zbytecznemi i śmiesznemi po zniesieniu chrześcyanizmu. Ale jeszcze jeden i to najważniejszy wzgląd wymagał ich zniesienia. Imię uświetnione przez zwycięstwa lub przez odkrycia naukowe, przechodząc z ust do ust, staje się zwykle w końcu rodzajem sztandaru; człowiek, który jest jego właścicielem, nawet po dokonanych błędach lub zbrodni, wywiera długo jeszcze pewien wpływ uzurpowany, a niebezpieczny dla równości. W imieniu jest zawsze coś osobistego i samoistnego. Zaproponowano więc zastąpienie imion liczbami, które nic nie wyrażają i łatwo mogą być zmienione. Tym sposobem Francya, podzielona na 10 seryj zamknęłaby w każdej seryi pewną liczbę obywateli. Pierwszy urzędnik pierwszej seryi byłby oznaczony liczbą 1, jego podwładni liczbami 2, 3 i t. d. Prości obywatele nie mieliby wykładnika. Liczba dawałaby się według numeru aktu urodzenia, a wykładnik według stopni w hierarchii cywilnej albo wojskowej.

Generał albo urzędnik usunięty, tracąc swój wykładnik, znikałby z pamięci ludzi i byłby pomieszczony między prostymi numerami swej seryi. Taki system zadałby ostateczny cios miłości własnej, osobistej i indywidualizmowi.

Generał Jakób, wielki myśliciel i znakomity mówca (oddawna już był się wyrzekł swego rodzinnego nazwiska), przyczynił się najwięcej do wprowadzenia w życie tej wielkiej reformy i on to pierwszy poświęcił swoje chrzestne imię, wsławione tylu bitwami. Przyjął Nr. 1., a jego zwolennicy uformowali się natychmiast w serye i znaczyli się według stopni wojskowych.

Nieszczęściem wielka część proletaryuszów, trwając w dawnych swoich przesądach, odrzuciła to ulepszenie. Powstało więc rozdwojenie w obozie. Przyszło nawet wiele razy do bójki. Prześladowano się nawzajem i armia zupełnie rozstrojona bliską była rozsypania.

W takiem to stanie rzeczy, oba stronnictwa proletaryuszów, zbyt słabe żeby zwalczyć republikanów, wysłały deputacye do konfederatów europejskich z żądaniem posiłków.

Wielkie wypadki, które miały miejsce w Niemczech, pozwoliły nareszcie rewolucyonistom europejskim zająć się sprawami Francyi. (D. n.)

Z „PIEŚNI HELLEŃSKICH,“

przez

BRONISŁAWA ZAWADZKIEGO.

Do cieniów Grecyi.

(WSTĘP.)

O! moja wdzięczna ludów wybranko
Z dziewiczym brzaskiem na czole,
Któraś w mitycznym dziejów poranku
Piękności siała już rolę,

Odchyl ten wieków granit mogilny,
Powstań i bądź nieśmiertelną,
Niech duch twój wiecznie młody i silny
Odbierze cześć niepodzielną.

Wszak my za tobą giniem z tęsknoty
Poeci bez ideału,
I pomarniały nasze poloty,
Gdy cię na ziemi nie stało.

A więc się podnieś w gwiazd dyademie
Ponad stuleci cmentarze
I wywiedź nowe ludzkości plemię,
Co pięknu wzniesie ołtarze.

Niech każdy wierzy, jak w swą kochankę,
W piękności kształt idealny,
Niech w niej ogląda niebios wysłankę
I ducha symbol widzialny.

Niech każdy rośnie w życiu poetą
W ciepłej harmonii z naturą,
Niechaj mu spływa natchnień podnietą
I rozpacz spędzi ponurą.

Bo kłamią, Grecyo, ci wszyscy moi,
Po lutni bracia boleśni,
Którzy przez wieki o śmierci twojej
Śpiewali żałobne pieśni.

Ja cię piorunem wzywam zaklęciem,
Wszak powiedz, że bluźnią tobie,
Żeś ty jest wiecznej myśli poczęciem
I nigdy nie spoczniesz w grobie.

Tyś przedhelleńską ludzkość bez marzeń
Poezyą opromieniła
I byłaś wielkich piastunką zdarzeń,
Których nie zamknie mogiła.

Więc już bez końca w duchu ludzkości
Jak on Prometej, ty żyjesz,
Tylko dziewiczej pełna skromności
W sennym letargu się kryjesz.

Lecz ja cię błagam, obudź się cieniu
Z pomroku omdleń duchowych,
Spojrzyj na ludzkość w sztuki odzieniu
I w czynach Leonidowych.

Powtórz nam dzieje twe wielkoludne
I każ znów kować rzeźbiarzom
Greckie posągi nagością cudne
Z powabną niebianek twarzą.

Wróć nam fantazyi twojej płomienie
Pogodne i bcznamiętne,
Niech jońskich kolumn klasyczne cienie
Swe formy rzucą ponętne.

Niech po gościńcach głuchych rozbrzmieje
Chorowód ślepych lirników,
Z rapsodów wiążąc znów epopeję
Ku głośnej czci śmiertelników.

Wioń w nasze gaje osamotnione
Nimf pląsającą drużyną,
Na łoże z modrych fal uściełone
Niech ciała Nereid spłyną.

Splataj dębowe tryumfu wieńce
I odsłoń pamiętne światu
Twej akademii jasne dziedzińce,
Gdzie o ideach śni Plato.

O! moja piękna, powróć raz jeszcze
Na świat jutrzenką różaną
I odmłódź nasze zapały wieszcze
Fantazyą z prawdy czerpaną.

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

II.

Wyjazd z *Luliniec*. — Scena pożegnalna. — Ugoszczenie ludu. — Przestworze Ukrainy. — Świat i dusza. — Indya. — *Rundżed Sing*. — *Courbevoye*. — Upadek złudzeń. — *Human*. — *Zofiówka*. — Teatr. — Wyjazd z *Humania*. — Step. — Czumaki. — Lwy symboliczne. — *Sewerynówka*. — Limany. — Odessa.

W ciągu tych dni kilku, poświęconych przyborom do podróży, dom nasz podobny był do ula, w którymby ktoś, przez swawolę, pszczołom szyki pomieszał. Od rana do wieczora, tumult, chaos, bieganie... Ładowano wozy alimentarnym zapasem dla ludzi i koni; windowano kufry, walizy, tłomoki do furgonów; napychano sakwy, i kieszenie ogromnej landary z niebotycznym kozłem, zakąską podręczną, napojem i przysmakami; panny służące uganiały się na wyścigi, z pudełkami, koszykami, woreczkami, Bóg wie czem i na co, napełnionemi; wszystkie drzwi były na oścież — wszystkie wyjścia domu otwarte na cztery wiatry — i wszędzie ktoś biegł, dźwigał, lub ciągnął i hałasował.

Nadszedł nakoniec dzień wyjazdu. Zgromadziliśmy się w kaplicy, gdzie wysłuchawszy pobożnie mszy świętej, odśpiewaliśmy naprzód suplikacye a potem: Przed oczy Twoje Panie! Ponieważ wnętrze kaplicy było za ciasne dla takiej ilości służby dworskiej i gościnnej, utworzył się tedy chór zewnętrzny, którego mocne płucowe zadęcia, nie zawsze wierne wokalnej eufonii, rozlegały się daleko, aż do ostatnich krańców osady. Po kornem ucałowaniu patyny dopełniliśmy adoracyi naszej u stóp ołtarza i wróciliśmy na pokoje, gdzie się rozpoczął akt solenny pożegnania z gośćmi i domownikami. Oficyanci różnych wydziałów zgromadzili się w sali. Za nimi stanęli szeregiem słudzy, ogrodnicy, kucharze, stajenni, kozacy rozsylni. Kobiety nawet i dziewczęta od krów, drobiu i piekarni pospieszyły także pożegnać swoją dobrą panią. Dla wszystkich znalazła babka moja przychylne słowo, zachętę, radę, lub dziękczynne uznanie. Wszystkich poleciła gorliwie opiece rządcy swego, dostojnego Łowczego Leżeńskiego—zwłaszcza sług starych, wdów, sierót i chorych, na pierwszym u niej zostających względzie. Łez wdzięczności, przywiązania i żalu po odjeżdżającej było tam nie mało — błogosławieństw bez liku! — a wszystko to szczere, sercowe, nieobłudne, bo dobrodziejstwem i miłością wywołane! Po tej rzewnej scenie nastąpiła inna. Cała luliniecka gromada ze starszynami swymi i z popem na czele stanęła przed gankiem. Lud był w świtach świątecznych; pop miał epitrachil *) na sobie i krzyż srebrny w ręku. Gdy pani starościna ucałowała krzyż święty, pop, staruszek z siwą brodą, pobłogosławił jej na drogę i rzekł po polsku:

— Za twe cnoty, Pani! Bóg ciebie nie opuści. Jedź w zdrowiu i szczęściu dokąd jechać zamierzyłaś — a my wszyscy modlić się będziem codziennie, żebyś do nas prędko, w zdrowiu i szczęściu powróciła!

Potem wyszedł najstarszy z gromady, gospodarz zasobny i poważny we wsi, a przytem garncarz słynny w okolicy, Sawa Rozumniak. Zdjął swoją baranią czapkę, wetknął ją sobie pod pachę i rzekł kłaniając się nizko:

— Myłostywa Pani! — Ne pokydaj nas na dowho! — Wertajsia chutko! — My dity twoi — Ty maty nasza — Jakże budemo żyty bez tebe?

*) Stuła.

Ledwie skończył, posunęły się hurmem ku pani starościnie baby wiejskie, małodyce z niemowlętami, dziewki, roje drobiazgu plebejskiego, żeby ucałować jej nogi, ręce, szaty i wynurzyć uczucia swoje, to słowem, to łzą, to gestem, lub wreszcie milczeniem wymownem, bo pełnem tkliwego wzruszenia. Dzwony cerkiewne biją tymczasem żałośnie, jakby podzielając żal ogólny—a pani Starościna z tkliwym uśmiechem na ustach i ze łzą rozrzewnienia w oku odpowiada sercowie na te kosztowne przejawy serca swego ludu; krąży pomiędzy ludem swoim gdyby macierz pomiędzy dziećmi swemi: większym zaszczycając względem starych gospodarzy i stare matrony sioła, dziękując im za przychylność, wzywając onej i nadal, w końcu żegnając ich i polecając Bogu z całem wylaniem opiekuńczej miłości, wiecznie płynącej dobroczynnym zdrojem na liczne poddaństwo, którego panią była. Na skinienie Łowczego Leżeńskiego, który stojąc na stronie zatabaczoną chustką poczciwe swe oczy ocierał, wytoczono z piwnicy 3 kufy miodu, wiszniaka i okowity. Przyniesiono także stosy chleba, faski sera, bryndzy, masła i rozpoczął się traktament. Lokaje roznosili jadło w koszach. Officyanci dworscy roznosili napoje w dzbankach. Niemogąc znieść sama odoru trunku, pani Starościna kazała mnie wychylić maleńki kieliszeczek miodu za zdrowie gromady. Bud'te zdorowy dobry lude! krzyknąłem spełniając ochotnie wolę czcigodnej opiekunki swojej i w tejże chwili zawrzało w tłumie i pchnął się ku mnie cały nawał ludu, porywem sercowym zagrzany i posypały się dziękczynne wołania i porwano mię na ręce i noszono kolejno otulając ciasnem objęciem przychylności, z której byłem szczęśliwy, z której byłem dumny, choć nie jam na nią zasłużył—nie ja! a święta niewiasta, której całe życie nie było niczem innem, jeno posłannictwem cnoty, miłości i poświęcenia.

Czytelniku! Jeżeliś twardy samolub, nie uznasz całej doniosłości tej sceny, którą jako najdroższy klejnot przeszłości mojej z błogiem wzruszeniem opisałem. Jeżeliś człek dobry, czego z całej duszy pragnę, nie weźmiesz mi zapewne za złe, żem roztoczył przed oczyma twemi obraz moralny wysokiej treści i wysokiego znaczenia. Na tle dzisiejszego społeczeństwa nic się już niestety takiego nie przedstawi! Nic takiego kronikarz obecnej epoki potomnym nie przekaże. Niewiele i wtedy było przykładów takich — dzisiaj niema ich wcale i być nie może!

Dzień się już przechylił za południe, kiedyśmy z Luliniec wyruszyli. Wozy, bryki i furgony wyszły wprzód pod dozorem koniuszego Tarnowskiego. W nich żeńska i męzka służba pani Starościny pojechała. W naszej landarze, przez sześć rosłych bucefałów ciągnionej, jechałem ja z moją babką, mając vis-à-vis pannę Zofią Kapczyńską, prześliczną istotę, pupillę lulinieckiego domu, oraz pannę Elizę Schmidt, ową poczciwą Lizusię z mego pamiętnika „Pani Starościna Horodelska.“ Wślad za nami jechała w podobnejże landarze ciotka moja, marszałkowa Sarnecka, z dziatwą i guwernantką, baronówną de Maubeuge, córką emigranta pierwszej rewolucyi, o którym będzie niżej. Trzeci powóz transportował panią marszałkową Opacką z córeczkami, które uczyła trzepać po francuzku wesoła Szwajcarka z Neufchatel'u panna Cathinka Prince. Dwa kocze zamykały naszą karawanę. W jednym wiózł mąż mojej ciotki marszałek Sarnecki mego nauczyciela Gusseka — w drugim jechał pan Tadeusz Sarnecki, marszałek kamieniecki, dziedzic głośnych na Podolu Czarnokoziniec, gdzie kopią gips i piękny wydobywają alabaster. Liczną tedy kompanią wpłynęliśmy na jasne Ukrainy przestworza. Nie były to jeszcze stepy, które się dopiero za Humaniem zaczynają coraz surowszym i dzikszym piętnując się charakterem: lecz były to płaszczyzny bez granic, to zielone i falące się jak morze, to wielobarwnie kwieciste jak ogrodowe łąki; gdzieniegdzie wklęsłe doliną, wydatne pagórkiem, nacętkowane ciemnymi ostępy gajów, kniei, zarośli; powabnie malownicze, poetycznie piękne a miłe oku i sercu, bo swoje, gniazdowe, przyjacielskie, poufne; w błękitach rodzinnego eteru zatopione, w promieniach ojczystego słońca rozkwitłe, pieśnią swojską brzmiące, domową pamiątką urocze! Ja nie podzielałem rozmowy toczącej się w naszym powozie, nie słuchałem jej nawet, bo mię zewnętrzne obrazy więcej zajmowały. Do samego Humania sterczałem ciągle w oknie, rzucając oczy me tu i owdzie—i wyrazić nie zdołam, jaka mię żądza dręczyła dosiąść wiatronogiego konia i ulecieć na nim w głąb obszarów, po zdobycz tej nieokreślonej swobody bytu, której pragnienie przyniosłem z sobą na świat, a której nigdy urzeczywistnić nie potrafiłem. Przecież była ona dla mnie wrodzoną potrzebą, była nawet może wskazówką czegoś—dobrego? czy złego? nie wiem—ale to pewna, że czegoś nie gminnego a wyłącznego, coby się mogło przy pomocy okoliczności rozwinąć niepospolitym rezultatem moralnym, czy to na polu nauki (która mię zawiodła!), czyli poezyi, której przytomność czuję w duszy, chociaż jej wyrazić, wylać z siebie w formie harmonijnej nie umiem. Istniejąc życiem światowem, nie lubiłem ja nigdy świata. Formy konwencyonalne krępujące stosunki jego były zawsze nieznośnym dla mnie ciężarem. Same te stosunki nawet mało miały powabu, bo męty zalegały serca, a dusze nie odzywały się do mnie tonem mojej duszy. Ztąd pochodzi, że nie dobijałem się żadnej oficyalnej karyery, materyalnemi korzyściami gardziłem, o gminne aplauzy nie dbałem, faworu wielkich tej ziemi nie szukałem. Dążyłem do czegoś takiego, czego chłodna proza naszego społecznego ustroju nie daje. Chciałem albo głębokiej samotności, niedostępnej głupiemu despotyzmowi naszych socyalnych instytucyj, albo wrzawy, zamętu, walki, czegoś takiego jednem słowem, coby jestestwu memu hart nadało nowy i nowymi życie popchnęło tory. Pod wpływem takiego usposobienia zdecydowałem się był na krok, w którym widziałem jedyny środek zaspokojenia ekscentrycznych pragnień niezależnej natury mojej. Wiedziałem, że Rundżed-Sing, król Lahoru, potrzebował ludzi znających sztukę wojenną, w przewidzeniu nacisku Anglii sięgającej pożądliwie po jego koronę. Wiedziałem także i to, że jenerałowie Allard, Ventura, Court i Avitabile byli organizatorawi jego armii, i że dwaj pierwsi wielkie u niego mieli zachowanie. Traf zrządził, że będąc w r. 1837 w Odessie poznałem tam niejakiego Courbevoye, uczonego Francuza z Tulonu, który się puszczał do Indyi w celu eksplorowania Flory Pindżabu, a także Fauny i Sylwy brzegowego pasma Indusu. Miał listy z Paryża do jenerała Allard'a. Nie mogłem żądać pomyślniejszej okazyi dla przesłania doń mego memoryału, Courbevoye pojechał z nim do Indyi, a ja wróciłem na Ukrainę. W połowie 1838 r. otrzymałem od niego list z Lahoru, z szczegółową relacyą faktów unicestwiających awanturnicze nadzieje moje. Rundżed-Sing już nie żył. Allard opuścił Pindżab i krwawa rewolucya potrząsała krajem. Na niczem tedy spełzły zamiary moje, których nieloiczność sam pierwszy potępiam, lecz których całą winę składam na to coś niepojęte, przeważnie duszą moją władnące ze szkodą jej doczesnego pokoju wiecznie zmąconego żądzą tego, co byłoby wielkiem i świetnem, gdyby było możebnem.

W Humaniu przepędziliśmy parę dni. Zdrowie babki mojej wymagało tej przerwy wojażu. Wszyscy, oprócz niej, pospieszyliśmy odwiedzić Zofiówkę, nieznaną mi jeszcze. Wyrazić nie zdołam wrażenia, jakie na mnie wywarła. Nigdy dotąd nie widziałem takiego ogrodu, cóż dziwnego żem się nim zachwycił? Grzeczny właściciel Humania, Aleksander Potocki, kazał puścić wody. Runęła ze skały pienista kaskada. Opadła kryształowa szyba zwierciadła Dyany. Strzeliła powiewnie fontanna jeziora. Ożywiły się strumienie i zawrzały wód gwałtownym naporem kamienne cieśnie i progi. Niby duch życiodajny, wzbił się nad tym ogrodem Armidy, gwar przeciągły tych wszystkich prądów, wytrysków szemrzących, którym odpowiadały szelesty gajów, owianych tchnieniem zefirów przelotnych. Panna Prince zaspiewała sławne szwajcarskie ranz des vaches u wnijścia głębokiej groty nocą zalanej i milczeniem. Na tysiączne bryzgi i atomy rozbił się jej głos, czczością cieśni i załomów jaskini pochłonięty i echa jakieś szydercze w niezbadanej głębi ukryte przedrzeźniały śpiewaczce bezładnem powtarzaniem jej ulubionego motywu.

(C. d. n.)

Goethe i Descartes.

Studyum

przez

Dr. ALFREDA ZGÓRSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Goethe, jak wiadomo, pracował od zarania swego poetycznego żywota aż po jego koniec nad nieśmiertelnym swoim Faustem. W „Rozmowach z Eckermannem“ przyznaje się Goethe, iż wcale nie myślał we Fauście jed olitej przedstawić myśli. Chciał on jedynie na tle podania o średniowiecznym czarnoksiężniku, któreby, jak nić czerwona przebiegała kanwę poematu, osnuć wszystkie silne, różnorodne i do głębi przejmujące wrażenia, których mu jego życie dostarczyło. Ale to właśnie najwłaściwszą stanowi rękojmię, że Faust jest prawdziwem swego czasu odźwierciedleniem. Idee w nim zawarte nie są sztucznem wtłoczeniem dostrzeganych faktów w system z góry już ułożony — ale i owszem całość myśli wylaniającej się z Fausta jest doskonałem zestawieniem drogą indukcyi objawów wydobytych z życia narodu, z życia— wszystkie pojęcia i uczucia narodu w sobie skupiającej duszy — Goethego. W „Dichtung und Wahrheit“ rzuca Goethe niejedno światło na ówczesny stan nauki w Niemczech. Już to zaufania budzić on nie mógł. Nauka była abstrakcyą bez żywotności, bez łącznika z życiem; porzuciwszy zakony duchowne stała się monopolem świeckich zakonów, jakbym nazwał ówczesne wszechnice i powagi naukowe. Jeżeli więc w czasach odrodzenia i reformacyi usiłowano oswobodzić naukę z pod przewagi i formalizmu duchowieństwa, to teraz jawi się wybitna dążność do uwolnienia jej z pod monopolu kastowego uczonych i jeżli w wieku XVI dążono, aby naukę uczynić przystępną i kołom świeckim, to teraz usiłowano ją rozszerzyć w masach narodów. Taką jest przyczyna encyklopedyzmu francuzkiego, taką kolebka niemieckich iluminatów i taki początek t. z. filozofów dla świata (*Philosofen für die Welt*). Nowa ta dążność umysłów w walce ze starym porządkiem nauki obalała wszystko, co jej było wrogiem; wraz z nauką tępiła wiarę... Sama zaś nazbyt mało przynosiła treści pozytywnej, a cała jej filozoficzna dyalektyka tyle w sobie miała jeszcze hypotez, iż nie mogła dać umysłom spokoju duchowego, pewności naukowej, wiary w swe nieokreślone jeszcze zdobycze... Skeptycyzm zaległ wszystkie ognistsze umysły tego czasu. Goethe sam przebył okres takiego skeptycyzmu—mamy na poparcie słów naszych jego własne zwierzenia. Goethe widział go jednak i na zewnątrz siebie, na ustach każdego, miał więc prawo nadać mu ogólne, przedmiotowe znaczenie, piętno ogólno-ludzkiego zjawiska. W wieku XVIII zresztą, w którym filozoficzna abstrakcyjność utraciła mir i powagę, a ludzkość skierowała cały wzrok swój ku badaniu rzetelnej prawdy życia, w którym, jak to z wielkiej liczby ówczesnych autobiografii widzimy, nikt nie pragnął jakichś oderwanych metafizycznych wyników badania, ale w życiu, w ludzkiem wnętrzu jednostki dopatrywał się prawd niezaprzeczonych, w takim wieku nie dziw, że prawdziwy wieszcz narodu tem śmielej wynurza wnętrze własnej duszy, opowiada jego dzieje i w niem odwiecznych szukać każe prawd ducha. Homera, Shakespeara w ich tworach nie widać — Goethego napotykamy w każdym jegó wierszu. Nie jest to jednak właściwością Goethego —jest to właściwością wieku dostrzeganą w tym samym stopniu u innych poetów, artystów i wybitnych umysłów tego czasu. Goethe tedy grzebiąc w skeptycznem swem wnętrzu znalazł tylko jedną prawdę—wyznanie, jakie podobny do wieku XVIII po Chr. wiek V przed Chr., wiek Sofistów ateńskich, wywołał na usta Sokratesa:

Und ich sehe, dass wir nichts wissen können!

Oto jedyna prawda, którą dusza Goethego, którą sumienie europejskie XVIIIgo wieku po Chr, jak sumienie Aten Vgo wieku przed Chr. postawić może! W tym wyniku leży założenie skeptycyzmu Faustowskiego. Ale przeciw czemuż ma on się zwrócić? Naturalnie, że przeciw źródłu, z którego wytrysnął... Sławne wyrazy:

Habe nun, ach! Philosophie
Juristerei und Medizin
Und leider auch Theologie
Durchaus studirt, mit heissem Bemühen!

rozpoczynają ów posępny monolog Fausta, który dla dokładniejszego zrozumienia koniecznie porównać należy z rozmową Mefistofela z uczniem. Pierwsze te słowa wskazują dowodnie, że źródłem skeptycyzmu Fausta, źródłem tego tragicznego przekonania, że nic nie wie, jest ówczesny stan nauk; bo on przykładał się do nich z całym zapałem, przebył całą rozległą sferę myśli, szukając bezwzględnej prawdy jako ideału badania, a jednak w ostatnim wyniku swych wysiłków metafizycznych nie znalazł nic więcej nad owo rozpaczliwe: nic nie wiem.. Więc to kres nauki?... Niemiłosiernie też skeptycyzm Faustowski zgruchotał jej podwaliny.

Rozbierając filozoficzną myśl tego skeptycyzmu, nie mogę kierować się porządkiem scen dramatu, ale muszę pójść śladem filozoficznej łączności pojedynczych myśli. Czytelnik poznajomiony z dramatem bez wskazówek domyśli się, w których jego ustępach poparcia pojedyńczych zdań szukać należy.

I tak przedewszystkiem ostremu sądowi poddaje Goethe metodę ówcześnie w umiejętnościach pielęgnowana: nie w żywej przyrodzie, nie w rzeczywistości, nie w żywych sercach ludzi szukać źródeł poznania, ale we foliantach scholastycyzmu, przekazywanych przez wiek wiekowi... Czyż nauka odosobniona od gry świata, zamknięta w ciemnej izbie uczonego, w przypruszonych pyłem stuleci

spoczywająca w księgach, w niedokładnych wreszcie i dziwacznych narzędziach mechanicznych, czyż nauka taka może być źródłem prawdy, tłumaczem świata? Czy nie znając z bezpośredniego patrzenia przyrody, ludzi, ich natury i serca, możemy szczerze powiedzieć, że prawdziwie się na nie zapatrujemy? Czyż można ufać, aby uczony po za ruchem świata stojący wydał o nim sąd przedmiotowy? czyż sąd takiego uczonego nie będzie raczej wynalazkiem jego, a nie odbłyskiem rzeczywistości, wytłumaczeniem bytu? czyliż to, co za istotę wszech rzeczy podaje, a czego się nie dotknął bezpośrednio ani okiem ani myślą, nie jest tylko obrazem duszy myśliciela, który w świat ten chciałby się przelać? Czyż cała nauka nie staje się zabawką na własnych osnutą pomysłach — czyż nie idzie uczonym więcej o słowa niż o treść?

Nie dziw więc, że Goethe taką pozwawszy metodę nauki, traci w nią wiarę — żadnej nie ufając jej gałęzi. Historya z pergaminów jedynie wysnuta nie mogła odpowiadać jej właściwej treści, a co duchem zwano historyi, tak mało było jej duchem, że raczej uważać to należało za dodatkowy, niezręczny utwór wrzekomych dziejopisarzy. Oni nie kierowali się myślą historyi, ale własną w historyczne ubrali kształty. Przyrodoznawcy nie badali rzeczywistej przyrody, nie byli otoczeni jej drgającymi pełnią życia zjawiskami; z trupów i szkieletów w retortach i słojach własną kleili sobie przyrodę i ją tylko poznali, ale nie tę, która żyje od wieków oświecona pełnem światlem słońca, a nie przyćmionym płomykiem kopcącej lampy. Czyż ten świat uczonych jest światem rzeczywistym, jest jakimkolwiek światem?

Das ist deine Welt! das heisst eine Welt!

I taka nauka przyrody miała być podstawą poznania, miała ludziom przynieść pożytek? Czyż można ją zastosować w życiu praktycznem np. w medycynie? Te długie recepty jednoczące największe ze sobą sprzeczności mająż wlewać zdrowie chorym? Któż policzy ofiary, które stały się ich pastwą? Wszakże te kombinacye dziwaczne leków, stworzonych w tajemniczem laboratoryum, nie opierają się na zbadaniu potrzeb ludzkiego ciała, ale na wymyśle pseudo-uczonej wyobraźni... Wszystkie te uwagi nasunęły się wówczas Goethemu.

Nie znając tedy prawdziwej przyrody, nie poznawszy w historyi rzeczywistego jej ducha, nie podobna było zbadać tym „badaczom“ właściwych tajników duszy i serca ludzkiego. Formalizm tu panował wszechwładnie, a powaga uczonych rozstrzygała każdy spór naukowy, nie zaś przekonanie powszechne, chociaż najbardziej bystre i uzasadnione. Anatomizują oni ducha, zabiwszy go poprzednio. Świat nauki tej nie rozumie, a żądają by w nią wierzył! Ma ona oświecać umysły, a rodzi taki zamęt pojęć, że co było dawniej wytłumaczonem, staje się zagadką.

Wszystko zatem, co nauka z tego świata w swe ramiona uchwycić zdoła, wszystko to Faustowi wydaje się spaczonem. Ponieważ zaś duch ludzki dążąc ku wyżynom bezwzględnej, pozaświatowej prawdy, musi oprzeć się poprzednio na gruncie empirycznego poznania t e g o świata i na zbadaniu j e g o zjawisk budować dopiero gmach metafizyczny, przeto i metafizyka ówczesna, ulotniona w dziedzinę marzeń bez prawdy i spekulacyi bez podstaw, nie mogła zadowolić głębszych umysłów. Metafizyka szczególnie niemiecka ze szkoły Leibnitza i Wolffa wysnuta z myśli p o d m i o t u oderwanego od rzeczywistości, zamkniętego jedynie w sobie, musiała stać się dogmatyczną, jednostronną. Metafizyka taka mogła mieć jedynie wartość podmiotową, prawdę względną; dla innych umysłów, wzrosłych pośród innych warunków bytu, inaczej myślących i czujących musiała być mową niezrozumiałą, grą słów napuszystych a pełnych czczej sofistyki, które do ich wnętrza nie wsiąkały i depopularyzowały u ogółu naukę zwaną słusznie w s z e c h w i e d z ą, *die Wissenschaft der Wissenschaften...*

Nie lepiej przyczyniła się ówczesna metoda naukowa do zrozumienia i wytłumaczenia ducha praw. Wśród pedantyzmu uczonych nie zbywało wprawdzie na usiłowaniach wprowadzenia tu metody historycznej, badającej prawo w jego stopniowym rozwoju, a więc mającej zakrój empiryczny, ale odziedziczywszy po wiekach średnich bogaty zasób przesądów, stłumiono poczucie prawa naturalnego, wrodzonego i poświęcono go całkowicie wszechwładzy prawa kodeksów. A czyż mogła taka wyłączność zadowolić umysł Fausta, umysł Goethego—umysł XVIII wieku?... A tak od najdelikatniejszych listków aż do pnia i korony wszystko było dla Fausta w sferze myśli zbutwiałem, wszystko blichtrem, ciemnością, którą on jednym genialnym błyskiem ducha rozprószył. (C. d. n.)

RADZIWIŁŁ W GOŚCINIE

anegdota dramatyczna w 3. aktach

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Scena III.

BASIA, DYPLOWICZ (*w kącie*).

(*Przez drzwi od podwórza wpada w ubiorze podróżnym Szczuka.*)

SZCZUKA. (*Spostrzegłszy Basię staje jak wryty.*) O Boże! co ja widzę! panna Barbara tu! jakimże wypadkiem?

BASIA. Pan Józef? To może Pan Bóg zesłał was na ratunek (*przypatruje mu się i poznaje barwę Radziwiłłowską na mundurze*). Ale cóż to te kolory znaczą?

SZCZUKA. Należę do dworu Księcia Wojewody.

BASIA. Nowe nieszczęście... Jak ojciec mój zobaczy was w tej barwie — on co i tak był wam przeciwny... wszystko zgubione...

SZCZUKA. Najdroższa Panno Barbaro...

BASIA. Ojciec...

SZCZUKA. Gdzież jest?

BASIA. Tu, w tej chwili nadejść może. Co poczniemy?... wszystko stracone, gdy was zobaczy... Jak można było przywdziać tę barwę?

SZCZUKA. Mógłżem przewidzieć, iż ona będzie niemiłą Chorążemu, jam się łudził przeciwnie, iż się powagą Księcia podtrzymam i los mój poprawię.

BASIA. Ojciec go nienawidzi...

SZCZUKA. (*łamiąc ręce*) Nieszczęśliwe przeznaczenie moje...

BASIA. Uchodź pan, nim przyjdzie.

SZCZUKA. Nie mogę, jestem przodem wysłany tu, by czekać na Księcia. Wojewoda będzie za chwilę. Zaklinam panią, niech się uspokoi... Ja potrafię wszystko zwyciężyć — ja umrę, lub ty moją być musisz...

(*Słychać wrzawę w alkierzu. Basia się cofa ku drzwiom, udając, że nie postrzegła Szczuki.*)

SZCZUKA. Gospodarz! Szmul? Gdzie Szmul?

Scena IV.

CIŻ i SZMUL (*wpada, a za nim tuż*) CHORĄŻY.

SZMUL. Sługa pana koniuszego! co pan każe?

SZCZUKA (*niby nie widząc Chorążego*). Książe Wojewoda nadjeżdża za kilka minut... chce tu odpocząć, konie zmachane! siana i owsa dla dworu, żeby było co zjeść...

CHORĄŻY (*który wszedł niosąc misę z sobą, popatrzył na Szczukę, siada za stół — i zaczyna jeść*).

SZMUL. Wszystko jest — to jest wszystko było... (*ręką pokazuje po cichu Chorążego.*)

SZCZUKA. A izba wolna dla Księcia?

SZMUL (*pokazuje ciągle Chorążego*). Izba... była... fein... czysto... spokojnie... pachnąco... ale... won... zajechał... i...

CHORĄŻY. Co ty tam gadasz?

SZMUL. Niczego, niczego. (*rusza ramionami i oczyma pokazuje Chorążego.*)

SZCZUKA. (*zachodzi z przodu i kłania się*) Czołem panu Chorążemu!...

CHORĄŻY. Czołem? hę? A! to waszeć panie Szczuka. Ledwiem poznał... Cóż to to? przebrałeś mi się jakoś... w liberyą... bardzo do twarzy?...

SZCZUKA. To mundur przyjacielski...

CHORĄŻY. Piękny, nie ma co mówić! (*do Basi*) idź waćpanna na górę! idź! proszę! nie ma tu co robić dla acanny! (*Basia błagająco spogląda na Szczukę i wysuwa się.*)

SZCZUKA. Poprzedzam Księcia wojewodę jako pełniący obowiązki Koniuszego.

CHORĄŻY. To nie przy psiarni jegomość! proszę!

SZCZUKA. Panie Chorąży...

CHORĄŻY. Winszuję! jest przecie koronny, musi być i Radziwiłłowski Koniuszy. Winszuję.

SZCZUKA. Poprzedzam Księcia... tylko, co go nie widać.

CHORĄŻY. Chciałbym, żeby go było widać — ciekawym...

SZCZUKA. Książe lubi być sam na popasach.

CHORĄŻY. I ja lubię być sam na popasach... a jednak śmierdzącego Dyplowicza znoszę (*pokazuje nań ręką*).

DYPLOWICZ. (*z kąta*) Panie Chorąży... stopki całuję.

SZCZUKA. Pan Chorąży tu już dawno popasa?

CHORĄŻY. A wy tu długo popasać myślicie? (*je ciągle z misy.*)

SZCZUKA. Jak pan nie łaskaw na mnie! czym zasłużył?

CHORĄŻY. A wam na co moja łaska, wszak macie łaskę księcia. Na dwóch łaskach, jak na dwóch stołkach, siedzieć nie dobrze.

SZCZUKA. Cóżem ja zawinił?

CHORĄŻY. Dalipan nic—tylko ani znajomości ani konfidencyi ze mną i z panną Barbarą nie życzę sobie. Do krocset basałyków... Jeszczą z tą liberyą!

SZCZUKA. Cóżem zawinił?

CHORĄŻY. Do kroć sto basałyków, nie, mówię nie. Daj mi święty pokój, a nie kręć się tam, gdzie my jesteśmy, bo ja szablą muchy spędzam...

SZCZUKA. (*łagodnie*) Panie Chorąży! Ja wszystko zniosę od pana... pan wie dla czego...

CHORĄŻY. Wiedzieć nie chcę.

SZCZUKA. Raczcie posłuchać.

CHORĄŻY. Słuchać nie chcę.

SZCZUKA. Książe Wojewoda nadjedzie, panowie z sobą źle od dawna, on gorączka...

CHORĄŻY. A ja jestem febra i z gorączką... Gdyby Lucyfer z Belzebubem mieli zajechać, nie ustąpię. Słyszysz? Dajże mi jeść spokojnie i wara z nosem w to co ja robię się wścibiać. (*Basia wygląda z alkierza dając znaki Szczuce.*)

SZCZUKA. Zaklinam pana Chorążego.

SZMUL. Już ja jemu kląłem — i nie pomogło... (*trzęsie głową smutnie.*)

SZCZUKA. (*cicho*) Chyba sam Pan Bóg odwróci nieszczęście! Są zrządzenia Boże... Któż wie? może to wyjdzie na lepsze... W każdym razie ojcu Basi, choćby życiem nałożyć przyszło, krzywdy uczynić nie dam.

CHORĄŻY. (*jedząc*) Co tam mruczysz, koniuszy Szczuko? hę? Ja mruków nie lubię... Idź waszeć czekać swego protektora u progu... bo się z gniewu kością udławię, a właśnie szczukę *) też jem... i dosyć kiepska...

Scena V.

(*Słychać wrzawę i tentent koni za drzwiami, wołanie, krzyki, potem chód żywy... Drzwi się otwierają na roścież,* RADZIWIŁŁ *wchodzi, za nim dwór jego.*)

DYPLOWICZ. (*w kącie woła*) Jadą! jadą! przyjechali!

SZMUL. (*lata przestraszony szukając tacy, porywa ją, niesie ku drzwiom drżący... Chorąży je, nieruszając się i nieoglądając.*)

BASIA (*z alkierza wygląda i woła*) Ojcze! Książe!!

CHORĄŻY. (*odpowiadając jej*) Basia na górę i cicho siedzieć! Basia na górę i ani mi się rusz! Bądź spokojna tylko, Kurcewicze siekali, ale ich nie siekano... twardzi są... (*W czasie tej chwili zamięszania książe stoi we drzwiach i patrzy na Chorążego i Szmula.*)

SZMUL. A waj! co to będzie!

KSIĄŻE. A to co? panie kochanku? Któż tu sobie pod tę porę tak poufałutko do mojej karczmy zajechał? Panie kochanku... jakby w domu...

SZMUL. (*zmięszany podając półmisek*) Jaśnie oświecony Księci Jegomości — uniżenie kłaniam... Jak słońców... jak bez słońców trawa... Jak królów Salomona i Dawida... a waj! wielki purym dla nas, kiedy Książe Jegomości nam swoim sługom... powraca... Vi-vat!!

KSIĄŻE. (*klepiąc go po ramieniu*) Dziękuję, panie kochanku, za oracyę, ani by Jezuita lepiej nie potrafił... a wolałbym, panie kochanku, karczmę bez oracyi byle niezajętą. (*Podchodzi z wolna do stołu i spogląda z góry na Chorążego, który je, wąsy ściera, potem z wolna głowę podnosi i spogląda mu oko w oko.*)

KSIĄŻE. Hm! Panie kochanku — Dzień dobry waszeci.

CHORĄŻY. Hm, sto basałyków! dzień dobry asanu.

KSIĄŻE. Nie zna mnie, panie kochanku, to zabawna rzecz... panie kochanku... Jak się zowiesz? możebyś poszedł sobie gdzieindziej jeść.

CHORĄŻY. Do stu basałyków, dla czego?

KSIĄŻE. Bo jabym tu jadł, panie kochanku...

CHORĄŻY. Czy jegomość wiesz, że do szlachcica mówisz?

---

*) Szczuka po staropolsku Szczupak.

KSIĄŻE. A kto u nas nie szlachcic, panie kochanku? Ale widzisz, panie kochanku, racya fizyka — choć ty jesteś szlachcic, to ja przecie jestem Radziwiłł, panie kochanku, wojewoda wileński.

CHORĄŻY. *(Głowę podnosząc tylko, ale siedząc ciągle.)* A! to wy jesteście Radziwiłł panie Kochanku! No proszę! Nigdybym się tego był niespodziewał... gdzieś na peregrynacyi brzucha stracił, czy co? Ale kiedy mnie zaszczyciliście rekomendując się, słuszna bym się ja także wam odrekomendował. Jestem Kniaź Hrehory Koryatowicz Kurcewicz, Chorąży lidzki, z rodu książąt litewskich...

KSIĄŻE. *(stoi chwilę zamyślony)* Co? co? ho? ho? jakiego rodu?... Terefere kuku, strzela baba z łuku! panie kochanku, witam Kniazia.

CHORĄŻY. *(kłania się głową)* Ja też witam i kłaniam Księciu Wojewodzie.

KSIĄŻE. *(Stoi, milczy, pogląda na swoich—Cisza.)* Hm! co panie Kochanku?

CHORĄŻY. Nic do sto basałyków *(zajada.)*

KSIĄŻE. *(do Wołodkowicza)* Co ty myślisz Wołodkowicz, czyby go kazać za drzwi wyrzucić, panie kochanku?

WOŁODKOWICZ. Ja sądzę, że on i sam wyjdzie.

KSIĄŻE. *(pół głosem)* Gdzie tam, ja jego ze słuchu znam, panie kochanku! To ten waryat z Siennej Wulki... On ma ząb do mnie, a ja do niego... bośmy sobie psy gończe łapali i wieszali. Patrzajże Wołodkowicz, ledwiem nogą na nieświezką ziemię stąpił, zwierzyna, panie kochanku, jest!

A ja panie kochanku, od tego ostatniego wypadku, gdy Księcia Murzynów w Tunis rozpłatałem jak szczupaka na dwoje, nie mam najmniejszej ochoty do takiego polowania. Tak mnie czarną krwią obryzgał, żem się odmyć nie mógł... *(myśli)* Gdyby go kazać upiec dla was na pieczyste?... Za chudy, panie kochanku, wy do tuczonych przywykli...

WOŁODKOWICZ. Same kości, mości Książe — my go nie będziemy jedli.

KSIĄŻE. To dla psów, panie kochenku.

WOŁODKOWICZ. Niegłodne. No i mogłyby nosacizny dostać, bo on ma muchy w nosie. *(W ciągu tej rozmowy pół głosem, Chorąży zajada z talerza nie oglądając się.)*

KSIĄŻE. Alež, panie kochanku, ja sam ustąpić nie mogę — to się tak nie skończy. Sprobuję — panie kochanku — łagodnie. *(zbliża się zwolna i opiera na stole.)*

KSIĄŻE. Co tam, panie kochanku, słychać w dobrach Kniazia?

CHORĄŻY. A co? lepiej niż w Nieświeżu—Księcia Radziwiłła kradną, a mnie nie, bo u mnie nie ma co kraść i obrazy Bożej niema.

KSIĄŻE. *(do Wołodkowicza cicho)* Ściął mnie, panie kochanku. *(do Chorążego)* Asindziej, panie kochanku, dawno już w tych stronach?...

CHORĄŻY. Nie tak bardzo.

KSIĄŻE. Widać to, panie Kochanku, sąsiadów waszych nie znacie, a toć byście słyszeli, wiedzieli, panie kochanku, że żaden Radziwiłł w kaszę sobie pluć nie da.

CHORĄŻY. *(spokojnie)* Już to prawda, żem snadź nie dawno, kiedy mnie też Radziwiłł nie zna i bierze za spokojnego pieska, co na dwóch łapkach służy, a ja jestem dzikie wilczysko!..

KSIĄŻE. *(do Wołodkowicza)* Znów mnie ściął, panie Kochanku *(do Chorążego)*. Widzisz Asindziej, Radziwiłłowie kury czubate... mówią o nich Rad-żywił, a nie powie nikt Rad-zjadł... bo cierpliwości braknie... i straszne gorączki... panie kochanku... jak im kto dopiecze?

CHORĄŻY. To co?

KSIĄŻE. Gotowi na wszystko — panie kochanku.

CHORĄŻY. A Kurcewicze są takiego gniazda, że nie czekają, żeby im kto dopiekł, sami pieką.

KSIĄŻE. *(do Wołodkowicza)* Niech go kaczki zdepcą, panie kochanku. Szlachcic jak kamień, ani ugryść *(do Chorążego)*. Pieką! pieką! ale mój panie, co Kurcewicz z Siennej Wulki może zrobić Radziwiłłowi na Nieświeżu?

CHORĄŻY. A co Radziwiłł na Nieświeżu może zrobić Kurcewiczowi na Siennej Wulce?

KSIĄŻE. Co? oto ja, panie kochanku, powiem ci. Jak mu rezon przyjdzie, może spędzić tłokę, Wulkę roznieść, zorać, solą posiać i... ani śladu, gdzie Kurcewicze się gnieździli.

CHORĄŻY. Proszę! proszę! do stu basałyków... Wszak ci to wszystko może być, prawda!... ale ja wam powiem co potem. Radziwiłła pozwą o gwałt i rozbój przed trybunał, a że u nas są i poczciwi sędziowie, osądzą go na g a r d ł o. Toć to u nas ścinali i Senatorów, a powinowaty wasz Zborowski skończył na pieńku...

KSIĄŻE. Asindziej, panie kochanku, probujesz mojej cierpliwości, ale już jej mało co jest.

CHORĄŻY. Zdaje mi się, iż Książe żartujesz sobie z siebie albo ze mnie. No—z siebie Księciu wolno, ale ja uprzedzam, że żartów nie lubię *(odwraca się)*.

KSIĄŻE. *(do Wołodkowicza)* Co tu z nim robić, panie kochanku?

WOŁODKOWICZ. Dać mu tam pokój.

KSIĄŻE. Nie mogę, panie kochanku — daj ty kurze grzędę... nie mogę. *(zbliża się z ręką na szabli)* Słyszysz asindziej — fora ze dwora! albo... panie kochanku...

CHORĄŻY *(spokojnie zawsze)*. Słyszysz Radziwiłł, w karczmie każdy pan. *(uderza po szabli)* Jeśli ci się zachciało bigosu...

KSIĄŻE. Toć i ja mam siekacza, panie kochanku.

CHORĄŻY. A no? to się sprobujemy, byle gra równa była... bo juźcić we stu na jednego to rozbójnicza rzecz, nie Radziwiłłowska.

KSIĄŻE. Panie kochanku, tego już nadto.

CHORĄŻY. Ja też sądzę tak!

KSIĄŻE. *(do swoich)* Tnie mnie i tnie... a asanowie mnie nie sukursujecie, panie kochanku... Co z nim robić?

WOŁODKOWICZ. Ale splunąć i porzucić... *(Na stronie do Chorążego)* Jedź waszmość bo się gubisz...

CHORĄŻY. Jak się zgubię, waćpan mnie szukać nie będziesz...

KSIĄŻE. *(dobywając szabli)* Ta sama jeszcze, com nią księcia rozpłatał...

CHORĄŻY. *(dobywając swoją)* Koryatowiczówka! pokaż co umiesz... *(składają się do pojedynku.)*

(C. d. n.)

Dr. M. Haushofer: Lehr- und Handbuch der Statistik, in ihrer neuesten geschichtlichen Entwickelung. Wien 1872. str. 516. 8vo.

Wśród mnóstwa publikacyj statystycznych, których głównym zdaje się celem napiętrzenie ogromnych zasobów cyfer bez systemu i ładu wewnętrznego—z przyjemnością bierze się do ręki książkę, systematycznie obmyślaną, dla której cyfra nie jest celem, lecz środkiem. Taką jest właśnie książka Haushofera, profesora ekonomii i statystyki w politechnicznej akademii w Monachium.

Autor zamierzył dać podręcznik dla tych, którzy zaznajomić się pragną z umiejętnymi wynikami statystyki w ostatnich czasach zdobytymi — podręcznik zarówno dla uczących się, jak i dla ludzi praktycznego zawodu. Przedewszystkiem jednak osiągniętym został cel pierwszy — książka Haushofera nadaje się przeważnie jako dobry podręcznik naukowy.

Ażeby celowi temu odpowiedzieć, podał autor w pierwszej księdze historyę i teoryę statystyki. Pierwsza, wzbogacona obfitą bibliografią, wchodzi bardzo mało w krytykę tego, co dotychczas na tym polu zdziałano, i w tym też kierunku nie może się równać z pracą Jonaka („Theorie der Statistik“) albo Kniesa, w których część krytyczna bardzo gruntownie jest opracowaną—co jednak nie uszczupla wartości przedmiotowego przedstawienia rzeczy u Haushofera.

W części teoretycznej uległ autor pokusie postawienia nowego określenia pojęcia statystyki, która jak każda umiejętność pierwej już rozwinęła się wszechstronnie, zanim doszła do zupełnie dokładnego określenia swej istoty i — co w tej właśnie umiejętności jest najważniejszem — swych granic. Mamy mnóstwo prac statystycznych, tak ogół nauki tej, jak i pojedyncze jej działy rozwijających— dobrej, niezachwianej definicyi niema dotąd. Nowa próba uczyniona przez Haushofera, tak jak i poprzednie — nie powiodła się. Słusznie on rozróżnia statystykę jako metodę, od statystyki jako umiejętności. Jako metoda jest statystyka według niego „systematycznem badaniem o masie zjawisk“ (sistematische Massenforschung), co jest niedokładnem o tyle, iż pomija główną cechę odróżniającą metodę statystyczną od innych, t. j. iż bada ona przedewszystkiem stosunki ilościowe. W ten sam błąd popada, dając następujące określenie: „Statystyka jest nauką o masie zjawisk, a szczególnie o masie zjawisk ludzkiego i państwowego ruchu i jego prawidłach.“ (Die Wissenschaft von der Masse, und zwar insbesondere von der Masse der menschlichen und staatlichen Erscheinungen, von ihrer Bewegung, und den Gesetzen derselben.) Określenie to obejmuje za wiele, w ten sposób bowiem cała ekonomia i wszystkie przez nią wykazane prawidła społecznego ruchu należałyby do statystyki. Zresztą sam ze sobą popada w sprzeczność, gdy o kilka wierszów niżej powiada: „Statystyka jest jednak tylko umiejętnością pomocniczą“ — powyższe bowiem określenie daje nam właśnie pojęcie umiejętności zupełnie samodzielnie badającej prawidła społecznego życia.

Sporu statystyków niemieckich z francuzkimi, z których pierwsi jako przedmiot badań statystycznych stawią państwo, drudzy zaś społeczeństwo — autor nie dotyka wcale, łącząc w powyżej przytoczonem określeniu obydwa kierunki tak, jak się one w praktyce połączyły i uczyniły ów spór walką o słowa raczej a nie o samą rzeczy istotę. Ostatecznie bowiem Niemcy w pojęciu państwa obejmują toż samo, czem jest dla Francuzów społeczeństwo.

Bardzo gruntownie a treściwie są opracowane rozdziały o sposobie dokonywania badań statystycznych.

Dalej podaje autor statystykę ludności, gospodarstwa społecznego, życia politycznego i społecznego, wreszcie statystykę moralności. Trzyma się ściśle najlepszego, bo porównawczego systemu, jakim szedł Brachelli, a z którym rozminął się zupełnie znakomity zresztą Kolb, pomimo, że dzieło swe nazwał „statystyką porównawczą“. Nie przechodzi bowiem Haushofer pojedynczych państw, kolejno dając statystykę każdego, jak to czyni Kolb — lecz przeciwnie, bierze pojedyncze zjawiska społecznego i państwowego życia, i zestawia odnoszące się do nich cyfry pojedynczych państw, wyprowadzając z nich statystyczne wnioski. Wielką zaś wartość pracy jego nadaje to, iż prawie wszędzie znajdujemy cyfry stosunkowe i procentowe, które jedynie są odpowiednie do czynienia porównań.

Jeżeli każdemu, kto się zajmuje statystyką ze względów czysto praktycznych zalecić można najbardziej wspomniane wyżej dzieło Kolba („Vergleichende Statistik“) —praca Haushofera śmiało zaleconą być może tym, którzy rozpoczynają umiejętne studya statystyczne, którym zatem mniej chodzi jeszcze o same cyfry, jak raczej o wdrożenie się w system tej nauki i metodę prac statystycznych.

T. R.

KORESPONDENCYE.

Paryż, 1. Lutego.

Trudne zadanie raczyła mi powierzyć redakcya *Świtu*. „Kreślić dokładny i ożywiony obraz ruchu naukowego, literackiego i artystycznego Francyi, a głównie Paryża“, i to jeszcze po klęskach, jakich byliśmy stroskanymi świadkami, znaczy tyle, co przedstawić w kalejdoskopie wszystkie mniej więcej gry i ruchy światła, wszystkie obrazy fantazyi, wszystkie odkrycia i zboczenia rozumu, wszystkie szały i wściekłości niemal ludzkości całej. Bo ludzkość słusznie czy niesłusznie wybrała sobie za stolicę, więcej powiem, za ognisko, owo ciasne, mętne i ciemne ale zawsze nawet na swych przeciwników czarujący wpływ wywierające miasto, któremu dotąd ani bomby pruskie, ani zawiść niektórych Francuzów, ani krwawe a bezmyślne szaleństwa części własnych mieszkańców, aureoli sławy i geniuszu odebrać nie mogły.

Gdybym miał polityczną rolę Paryża ocenić, sąd mój byłby może surowym, a raczej musiałbym przypomnieć, że taka stolica z natury swojej kosmopolityczna, z najróżniejszych żywiołów złożona, a będąca przez tyle lat sercem i głową nietylko Francyi, jak to ktoś za cesarstwa w izbie powiedział, ale co najmniej całej Europy, nie miała, nie mogła mieć tego czystego, bezinteresownego patryotyzmu, jakim się inne niektóre stolice odznaczają; będąc niejako zbiegowiskiem wszystkiego co myśli i działa, wszystkiego co posiada i używa, a z dru-

giej strony wszystkiego co cierpi i nienawidzi, musiała wzgardzić i wzgardziła całym światem a mianowicie resztą Francyi, którą uważała za martwe ciało, krępujące jej zachcenia i dążności. Za tę dumę Paryż srogo odpokutował; bo kiedy Niemcy oręż zemsty wszystkich narodów za tylowiekową pogardę nad nim zawiesili, Francya bez zapału gotowała się ku jego obronie. Ale też, w samym sobie rozdzielony na dwa obozy, chwilowo sprzymierzone a nieufnem okiem na siebie poglądające, stał się i musiał stać się polem walki tych dwóch wrogich sobie społeczeństw, z których jedno nic nie mające drugiemu wszystko by wyrwać chciało, wtenczas kiedy drugie wszystko posiadające żadnych ustępstw pierwszemu zrobić nie chce. Paryż, pod względem politycznym, jest tylko wulkanem, którego wybuchy czasem zbawienne, czasem też straszne, szkodliwe i zabijające, świat oświecają i przerażają a żadnej skutecznej i trwałej korzyści nie przynoszą.

Pod względem moralnym, trudno także wydać o Paryżu wyrok przychylny i łagodny: jest on ogniskiem zepsucia, jak jest ogniskiem cywilizacyi. Wszystkie klasy równie zarażone, chociaż wzajemnie się oskarżają: egoistyczne i zmateryalizowane mieszczaństwo nie lepsze od wyrobników chciwych, a szukających pociechy swojej biedy w pijaństwie i rozpuście; Paryż republikański nie moralniejszy od Paryża monarchicznego. Nie rządom przypisywać zresztą należy ten bezmiar zepsucia, który jest cechą wszystkich miast, liczących przeszło milion ludności.

Ale z tego zgangrenowania moralnego, z tego ścierania się opinii i stronnictw, wytryska jak żywy płomień, literatura ożywiona, dowcipna, pełna myśli, odbijająca wszystkie pojęcia, skupiająca i roztrząsająca wszystkie zapatrywania, a rzucająca jaskrawe światło swoje na wszystkie kwestye socyalne i polityczne, naukowe i artystyczne. O tę tylko emanacyę, że tak powiem, Paryża nam tutaj idzie. Niech się u spodu kryją wszystkie nędze, wszystkie zbrodnie, wszystkie nawet sprośności wielkiego miasta; my wyżej staniemy, a zamieszkując owe *templa serena*, o których mówi poeta łaciński, z pięknej tylko strony ocenimy ten mikrokosm, którym jest Paryż XIXgo wieku.

Literatura paryska rozpada się na mnóstwo działów, które przedewszystkiem określić i ocenić z góry nam wypada. Naprzód dziennikarstwo wojujące, które jest najwierniejszem zwierciadłem tego chaosu politycznego, społecznego i moralnego, o którym przed chwilą wspominaliśmy, a który na bezstronnym czytelniku sprawia to samo wrażenie, co krzyki nieszczęśliwych z domu obłąkanych, przerażające hr. Henryka w Nieboskiej Komedyi. Ten z krzyżem w ręku, ten z szalą kupiecką, ów z białą chorągwią, inny z czerwonym sztandarem, inny jeszcze z pochodnią pożarną, ogłaszają siebie za jedynych zbawców narodu, co mówię? ludzkości całej, i w ciągłych sprzeczkach, kłótniach, z pianą na ustach lecą w przepaść z tym biednym, poddającym się szalonych opiece, narodem.

Obok dziennikarstwa, czyli w samem dziennikarstwie, powieściopisarze wyzyskują także owe stronnicze szały, lub owo zepsucie moralne, powiększają gorączkę chorobliwego miasta i podają zgłodniałym umysłowo niezdrową strawę lub napój otruwający, który rozrywa, śmieszy, ożywia na chwilę — ale powoli i nieodwrotnie pacyenta zabija.

Teatr nareszcie, z małymi wyjątkami, jest tylko dalszym ciągiem, dokończeniem tego zabójczego dzieła; czy to są bezmyślne farsy z muzyką lub bez muzyki, czy też dramaty romantyczne, których bohaterami są mordercy i truciciele, czy owe nowsze komedye, *à la Dumas fils*, których treścią jest wiecznie cudzołoztwo a celem zrehabilitowanie bezwstydu, czy nareszcie obyczajowe obrazy *à la Sardou*, które nikogo nie poprawią a wszystkich oswajają z zepsuciem swego czasu, wszystkie prawie dzieła dramatyczne, a szczególnie owe *féeries* pyszne dla oka, mile łechcące wszystkie złe instynkta duszy ludzkiej, a rozumowi i sercu żadnego pożytku nie przynoszące — wszystkie, mówię, są ową trucizną, której w gorączce chory chciwie wymaga, sam nie wiedząc o tem, że się nią dobija.

Na szczęście jest inna jeszcze literatura, poważniejsza, zdrowsza, ale nie przynosząca dotąd ogółowi korzyści, bo nie jest wszystkim przystępną i nie umie sama zrobić się dla wszystkich zrozumiałą. Jest to literatura naukowa. Wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiej, nauki moralne i filozoficzne, nauki ścisłe i fizyczne mają tu świattych swoich przedstawicieli, posiadających wszystkie zalety jasnego, pięknego, logicznego wykładu, ale tworzących jeszcze mimo godnych uznania usiłowań, rodzaj zamkniętego koła, do którego niewtajemniczeni wchodzić albo nie mogą, albo też nie mają odwagi. Z tych przeglądów naukowych i literackich, z tych kursów niby publicznych, a na które bardzo mała liczba słuchaczów uczęszcza, z tych konferencyi teraz rzadszych, ale które się z czasem pomnożą, wyciągnę wedle sił moich, co się da i będę się starał wykazywać, że w nauce jedynie i w pracy tak Francya jak i każdy inny podupadły naród znajdzie dźwignię do podniesienia się na nowo. Prawda stara jak świat, a od tak dawna właśnie, jak jest świat, zapoznawana przez wszystkich prawie i na każdym kroku.

Sztuka nareszcie, sztuka bezinteresowna, goniąca za pięknością idealną i urzeczywistniająca ją czy na płótnie, czy w rzeźbie, czy w architekturze, sztuka też w zastosowaniach swoich przemysłowych i w ogóle utylitarnych, ma tu w Paryżu wielbicieli swoich i kapłanów swoich i świątynie swoje. Wystawy, na które ze wszystkich stron Francyi i Europy składają się artyści najzdolniejsi, będą przedmiotem naszych studyów, a zobaczymy, że tam tylko gdzie sztuka, niezapominając o wyższym swoim celu uchwycenia i oddania ideału, wywołuje zarazem w sercach ludzkich wzniosłe uczucia, społeczne, religijne i patryotyczne, tam tylko jest nadzieja odrodzenia narodów i niezawodnego wskrzeszenia ich.

W przyszłym liście, zaczniemy ściśle i szczegółowo uiszczać się z naszego zadania. Dzisiaj chciałem tylko w kilku wstępnych słowach porozumieć się z moimi czytelnikami, uprzedzić ich o sposobie zapatrywania się mojego na ten ruch tak ważny i tak różnorodny, tak nęcący i tak mogący być niebezpiecznym dla tych, którzy fałszywych jego kierunków od zbawiennych rozróżnić by nie umieli. Chciałem ich tylko zapewnić, że we wszystkich rozmowach naszych o Paryżu i o objawach jego potężnego geniuszu, będę miał ciągle na widoku przyszłość i ocalenie Francyi, która jest jeszcze ludzkości potrzebną, a z drugiej strony naukę, jaką my Polacy możemy wyciągnąć z rozsnuwających się przed oczyma naszemi obrazów i zdarzeń.

A więc do widzenia!...

W. G.

PROMYKI.

Emmerson porównał gdzieś piszącego z zawodu— do sekretarza... Jak ten spisując za zielonym stolikiem protokół rozpraw, wytęża uwagę, aby nie stracić ani jednego ich szczegółu i nie przerwać tem logicznego pasma myśli, tak i piszący w znaczeniu ogólnem baczyć musi na każdy ton tego wielkiego, chaotycznego koncertu, jaki się odgrywa w świecie czynów i w świecie idei. Wszystko się tam tak łączy, tak warunkuje nawzajem, że aby zrozumieć swój czas i powiązanie zdarzeń, potrzeba ciągle za puls trzymać chwilę bieżącą — nic z jej echa nie uronić, potrzeba spisywać wzorowy protokół... A nie chodzi tu o pedantyzm szkolarski, aby zestawiać ze sobą tylko fakta i sądy do jednej sfery wyobrażeń należące— życie jest mozajką, wrażenia tłoczą się bez ładu — toż i te pogadanki, mające być odblaskiem chwili, nie mogą mieć cechy systematycznej — będą sobie, jak wietrznice, od przedmiotu skakały na przedmiot, od myśli biegły do myśli — tyle w ich powiązaniu będzie logiki, ile jest logiki w wypadkach życia...

A przecież jest ona w życiu, chociaż się tak często po za chaosem zdarzeń ukrywa... Tylko na wszystko trzeba patrzeć z pewnego oddalenia. Po Metzu i Sedanie zdawało się, że logika wzięła policzek; bo komużto mogło wpaść do głowy w pierwszej chwili, że Francyę — tę świetną, tę wytworną Aspazyę nowego świata — upokorzy szorstki, ponury landwerzysta z nad Sprei?... Francya stała się buduarem, którego woń upajała, którego ściany obwieszone były girlandami błyskotek. Na cackach i atlasach zasnął geniusz Francyi, a myśmy się łudzili, że to jeszcze ciągle naród Tureniuszów i Monteskich, kiedy on już był tylko parodyą dawnej sławy, dawnych olbrzymów... Ta Francya, co przed dwoma wiekami miała jeszcze obok tronu — choćby taką Pompadour — nie zdobyła się w XIX stuleciu na godniejszy przedmiot monarszej czułości, jak Małgorzata Bellanger...

Wracając jednak do logiki, któż się mógł patrzyć na jej sztuczki bengalskie, na jej militarną grandezzę bez złudzenia, że jest wielką? kto mógł być myślicielem tak głębokim, ażeby już przed kataklizmem r. 1870 przeczuł, że ten lud, którego opinie polityczne wyrabiają się na artykułach *Figara*, którego zmysł moralny kształci się na komedyach młodego Dumasa, którego oczy wpatrują się w czarodziejstwa feeryi Offenbachowskich, że ten lud skarlał, spodlił się, wzniosłość zastąpił cynizmem, uczucie namiętnością, przekonanie frazesem, rozum płytkością, wiarę szyderstwem?.... A przecież logika zrobiła swoje, i nim się kto z nas spostrzegł, pogruchotała tych, co nie uznawali jej powagi. Czy Francya jednak poznaje i dzisiaj przyczynę swego upadku?... Zdawałoby się — czytając list do współziomków Aleksandra Dumasa syna i mowę akademicką Juliusza Simona — że poznaje, czytając uczone wywody p. Emila Montegut i traktat polityczno-socyalny Ernesta-Rénana: „Reforme intellectuelle et morale en France“ — że nie... Bo na co tu utrudniać kwestyę, czemu się bawić w ideologa łudzącego samego siebie?... Głęboki Montegut i egzaltowany Rénan szukają przyczyn upadku.. zgadnijcie!... aż w r. 1789! Dowodzi się tu więc patetycznie chociaż płytko, że demokratyczność zabiła Francyę, że brak poczucia zdrowego monarchizmu, że przerwanie tradycyi legitymistycznej, że usunięcie na drugi plan żywiołów konserwatywnych itd. itd. były tu żywiołami rozkładu i gangreny społecznej... Dobry Boże!... czy doprawdy Francya tak bardzo przywykła do swych kawiarń bulwarowych, bezmyślnych teatrów, do rysunków Grévina i powieści Gaboriau, że nie powie sobie już nigdy: upadłam politycznie, bo upadłam obyczajowo... Muszę spoważnieć, po za upojeniem zmysłów i burzliwością temperamentu muszę znaleść inne poważniejsze motywa do życia... bo jeżeli nie, to nie wybawią mię ani p. Thiers, ani p. Gambetta, ani Henryk V, ani Napoleon IV. A tylko się popatrzcie, jakim to tam rozkosznym i rozumnym widowiskom przygląda się po roku 1871 Paryż. Co to za lube płody muzy dramatycznej, na które gapi się lud francuzki — ten „Biały niedźwiedź“ („Boule de neige“), ten „Roi Carotte“ itd ?... Kiedy Dumas wystawił swe „Odwiedziny ślubne“ i „Księżniczkę Georges,“ napisano, że publiczność była niezadowoloną, że przyprawa była za silną nawet na smak tak już nieulegający podrażnieniu, jak u Paryżan?... Ale kłamstwo — „Księżniczka Georges“ napełnia co wieczór Gymnase już od dwóch miesięcy — publiczność z godną lepszych przedmiotów uwagą przygląda się, jak rozwiązuje przed nią swój problem społeczny jej zepsute dziecko — p. A. Dumas syn, jak w Odeonie p. Charles Edmond każe mężowi co wieczór dusić własną żonę na scenie — *à la Otello*, jak Boule de neige zamiata kudłami deski w *Bouffes* parisiennes?... Cóż kiedy panowie Montegut i Renan nie bywają w teatrach i dlatego piszą, że Francyę zgubiło skrzywione poczucie legitymizmu... Honny soit!..

Doprawdy inaczej w Niemczech. Życie tu z głębokich snuje się motywów, literatura i teatr sięgają wysoko po swe ideały... Wzrost nagły nikogo nie oszołomił, ale napełnił większą miłością ku wszystkiemu, co ojczyste, co przeszłe a wielkie... Ryszard Wagner w Beireucie wznawia helleńską tradycyę świąt Olimpijskich, jak ongi w Grecyi do Delf i Koryntu, tak do Beireuthu gromadzić się będą z Północy i Południa Niemcy na uroczystość sztuki narodowej, na przedstawienia Wagnerowskich „Nibelungów.“ Nie boją się oni dać ogłuszyć fanfarom Wagnera, bo wiedzą, że z tych oryginalnych, ekscentrycznych dźwięków wyziera nowa forma opery, której rozwinięcie może być niespożytą chwałą dla twórczości ducha niemieckiego... Może dziś u Wagnera wiele dziwactw, może szkoda melodyi, tak bezpowrotnie zatraconej w jego pomysłach muzycznych, ale przyznacie, że wieje z tych tonów głębokość myśli, siła plastyki, szczytność poezyi... Na przyszłą wiosnę, w nowym umyślnie na ten cel zbudowanym teatrze, na ochrzczonej po imieniu mistrza Richardshöhe posłyszą Niemcy tę wielką trylogię Wagnera, której dał zbiorowy tytuł „Ring der Nibelungen.“ Co wieczora napełniać się będzie teatr 2.500 pielgrzymami z całych Niemiec... *Georges Dandin*?... Chciałeś porównania?... Oto jest — „le Roi Carotte“ i „Nibelungi.“

Reformatorski ruch czuć w Niemczech na każdem polu — Wagner reformuje muzykę, Döllinger i Zirngiebel powtarzają historyę Lutra i Melanchtona. Ruch ten religijny pochłania dziś tak całą treść umysłów niemieckich, że odbija się prawie na każdym nawet płodzie najnowszej ich literatury... Sztuki ludowe Grubera „Pfarrer von Kirchfeld“ i „Meineidbauer,“ Rudolfa Kneisla wyborny, nową i pełną życia myśl rozwijający dramat „Die Tochter Belials,“ pomniejsze komedye obierają sobie za tło już ową krucyatę roz powszechniającą się coraz szerzej przeciw szkodliwym wpływom na społeczność zgangrenowanej części duchowieństwa...

A i my także mamy do zapisania cenne zdobycze. Akademia umiejętności w Krakowie pismem monarszem wreszcie zatwierdzona i uposażona. Otwartą jest droga ku stworzeniu nauki prawdziwie samorodnej, polskiej... Sądzimy, że nowa Akademia przyjmie w zakres swych poszukiwań wszystkie żywotne jej kwestye, nie uchylając się od rozbioru pytań natury drażliwej, ale powszechnego interesu. Spodziewamy się, że sala jej otwartą będzie wszelkiej dyskusyi, która ma w sobie jakikolwiek żywioł umiejętny, chociażby opinie większości Akademików nie godziły się z podniesioną na polu nauki teoryą... Spodziewamy się, że praca, rzetelna erudycya, zasługi około postępu myśli ludzkiej, znajdą zawsze uznanie w tych wysokich kołach, chociażby nawet rezultat poszukiwań przeprawiać nas miał o boleść i utratę złudzeń... Sądzimy jednem słowem. że skandal, jaki zaszedł w Akademii paryzkiej o p. Littrè, nie powtórzy się nigdy w Akademii krakowskiej, a zkądinnąd tak czcigodny ks. Dupanloup nie znajdzie u nas plagiatora... Słusznie „Czas“ powiedział, że imiona hr. Alfreda Potockiego, ks. Jerzego Lubomirskiego i dr. Majera na zawsze związane będą z wzniosłą chwilą wejścia w życie tak wiele obiecującej instytucyi... Kraków spoważnieje teraz jeszcze bardziej, ale pocieszmy się, że kontrast pomiędzy Lwowem a miastem akademickiem nie będzie znowu tak nazbyt potężnym, bo wyznać trzeba, że i Lwów także— poważnieje... Bez wątpienia jest w nim teraz mniej wrzawy, ale więcej pracy i skupienia umysłowego. P. Urbański nie znalazłby już dziś żywiołu do nowej edycyi „Tramtadratów,“ alboby popełnił anachronizm... Spoważnienie widać na wszystkich twarzach i dobroczynna reakcya uwidomia się coraz wyraźniej; niedawni trybunowie ludu ironizują dziś sami z zamiłowaniem młodą historyę swej politycznej przeszłości...

Jesteśmy wreszcie w przededniu chwili, kiedy i wzniosła Muza ocknie się do nowego życia w gmachu hr. Skarbka... Nie wiemy, kto otrzyma kierunek sceny, ale pomiędzy współubiegającymi się wymieniają imiona tak poważne, jak Stan. Koźmiana i Jana Królikowskiego... Wyścig powinien być rozegranym bez wątpienia pomiędzy tymi kandydatami. Towarzystwo akcyjne, wysłało delegata do Warszawy dla ostatecznego ułożenia kontraktu z p. Janem Królikowskim, jako artystycznym kierownikiem sceny, w razie jeżeli ono otrzyma dzierżawę teatru. Głębokie znawstwo estetyczne, wieloletnia rutyna i wspaniały talent tego artysty zdają się w nim wskazywać przyszłego kierownika naszej sceny — na seryo rywalizować z nim może tylko p. Stanisław Koźmian. W każdym razie jasna przyszłość nam tu świta...

W Niedzielę (d. 4. b. m.) rozpoczął dr. Antoni Małecki w sali ratuszowej szereg odczytów publicznych na dochód ubogich. Mówił o runach słowiańskich i dowiódł, że wszystkie tychże okazy na tz. bałwankach Prillwickich i kamieniach Mikorzyńskich były falszerstwem Niemca z XVIII wieku, Spornholza. Może mieli Słowianie pismo runiczne, ale do nas nie doszedł żaden ślad jego. Z właściwą sobie bystrością krytyczną, w wykładzie ożywionym i pełnym erudycyi wykazał prof. Małecki bezpodstawność dotychczasowych przypuszczeń, niwecząc tem wszystko, co o runach napisali tak gorąco Lelewel w swej „Czci bałwochwalczej dawnych Słowian,“ Kollar, Kucharski i tylu innych... *Zet.*

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

POEZYA. *Złote literki*, nowa książeczka dla dzieci przez Władysława Bełzę, (z ryciną). Lwów. Wild 1872. Na polu wydawnictw dla młodzieży położył p. Bełza wielkie i powszechnie już uznane zasługi, posiada on dar szczególny podawania nauki we formie miłej i zajmującej, wybornie do młodocianych umysłów zastosowanej Taki charakter nosi jego pisemko dla dzieci „Promyk“ i powyżej wspomniana publikacya, którą gorąco polecamy.

ESTETYKA i LITERATURA. *Mintzloff dr. R. Litteraturgeschichte der Völker des Alterthums.* Leipzig 1872.

— *Lotheisen Ferd. Litteratur und Gesellschaft* in Frankreich zur Zeit der Revolution 1789 — 1794. Zur Culturgeschichte des XVIII Jahrhundertes. Wien 1872. Zajmujące studyum o wzajemnem oddziaływaniu na siebie literatury i urządzeń społecznych.

HISTORYA. *Hieronim Sawonarola*, epizod z dziejów Florencyi opowiedział Klemens Kantecki. Poznań i Lwów. Richter. 1872. Obszerniej w przyszłym numerze.

— *Szmitt H. Szkic historyczny dziejów 30-letniego panowania St. Augusta ostatniego króla polskiego.* Z 8 rysunkami J. Kossaka i W. Eljasza. Nakład A. Nowoleckiego. Kraków. 1872.

NAUKI SPOŁECZNE. *Dr. E. Dühring. Kritische Geschichte der Nationalökonomie und des Socialismus.* Berlin 1871. Rzecz głęboko krytyczna, cenniejsza od płytkiej ekonomii Blanqui'ego.

PEDAGOGIA. *Arnstädt* Dr. F. A. *François Rabelais und sein „Traité d'education“ mit besonderer Berücksichtigung der pedagogischen Grundsätze Montaigne's, Locke's und Rousseaus.* Leipzig 1872.

ODCZYTY. P. *Franciszek Dobrowolski* miał d. 2. b. m. w *Poznaniu* odczyt publiczny „o Ignacym Potockim“, mówiąc głównie o jego pracach w komisyi edukacyjnej i udziale przy ułożeniu konstytucyi 3. Maja. — P. J. *Zacharyasiewicz* miał w *Krakowie* dwa odczyty „o idealizmie i realizmie“. — W *Warszawie* odbył się w Styczniu szereg odczytów publicznych. P. Ochorowicz mówił „O stosunku pracy fizycznej do umysłowej“, p. Niewiadomski „o ludziach przedhistorycznych,“ p. Kamiński: „o stosunku poezyi do życia“, p. J. K. Gregorowicz „o uczuciu i myśli w obec postępu cywilizacyi“.

TEATR i SZTUKI PIĘKNE. Występy gościnne p. *Lecha Nowakowskiego* na scenie naszej obudzają coraz żywsze zajęcie. We środę (dnia 31gn z. m.) grał Karwackiego w znanej komedyi J. Narzymskiego: *„Epidemia.“* W pojęciu tej roli przez p. N. było mniej ciepła i barwy szlacheckiej, jak u lwowskiego jej przedstawiciela, a więcej natomiast szlachetnej mocy charakteru i godności. W chwilach uczuciowych gra p. N. wywoływała głębokie wzruszenie niemym a silnym wyrazem boleści, natomiast gdzie jej wybuchy należało oddać deklamacyą, raził szorstki i fałszywie-śpiewny jej akcent. W środę (d. 7. b. m.) wystąpił znowu w popisowych rolach barona Rocheferrier (*„Partya pikiety“*) i Fryd. Marsan (*„Poszukuje się nauczyciela“*) i grał bez zarzutu.—Wkrótce odśpiewaną będzie w *lwowskiej operze niemieckiej „Hrabina“* Moniuszki; libretto przełożył A. Urbański. — Najbliższe nowości *teatru poznańskiego* są: „Mentor“ hr. Fredry syna, „Pół miliona“ Sabowskiego, „Hrabia Horn“ Weilena i „Baronowa“ pp. E. Foussier i Charles Edmond (Chojeckiego) w przekładzie Wł. Ordona.

— † *Bogumił Dawizon*, jeden z największych tragików dzisiejszej chwili zmarł d. 1. b. m. w swej willi pod Drėznem. Urodzony 18. Maja 1818 r. w Warszawie młodość spędził w nędzy. Wcześnie poczuwszy w sobie zapał artystyczny wszedł do szkoły dramatycznej i już w r. 1837 wystąpił na scenie w komedyi Fredry: „Mąż i żona.“ Grywał następnie w Wilnie i we Lwowie, wysoko tu ceniony przez hr. Skarbka. Wpływ znakomitych artystów niemieckich Julii Rettich i Löwego spowodował go do poświęcenia się sztuce niemieckiej. Holbein powołał go do Hamburga, gdzie talent D. zabłysnął w całej pełni; zaproszony w r. 1849 do teatru nadwornego w Wiedniu był uwielbianym przez tamtejszą publiczność, aż nieporozumienia z hr. Lanckorońskim, intendentem teatru, spowodowały jego wyjazd do Drezna w r. 1854. Odtąd zaczyna się najświetniejszy okres jego życia i tryumfów artystycznych. Nieprzewyższonym był Ryszardem III, genialnie pojmował i grał role Jaga, Marka Antoniusza; cechą jego talentu była wszechstronność. W ostatniej swej podróży do Ameryki począł cierpieć na rozmiękczenie mózgu. Mówią, że gorączka sławy i pieniędzy utrzymywała jego ustrój nerwowy w ciągłem rozdrażnieniu i sprowadziła wreszcie śmierć artysty.

ROZMAITOSCI. *Dr. Henryk Gotlieb* ze Lwowa został mianowany za swą pracę o *Chazarach* członkiem honorowym Tow. oryentalnego w Lipsku.

— † *Dr. Fryderyk Adolf Trendelenburg*, profesor filozofii w Berlinie i znakomity autor dzieła „Naturrecht“ umarł d. 24. bm.

Wydawcy: Romuald Starkel i Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedz. Zyg. Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.